ROK DRUGI.

№ 52.

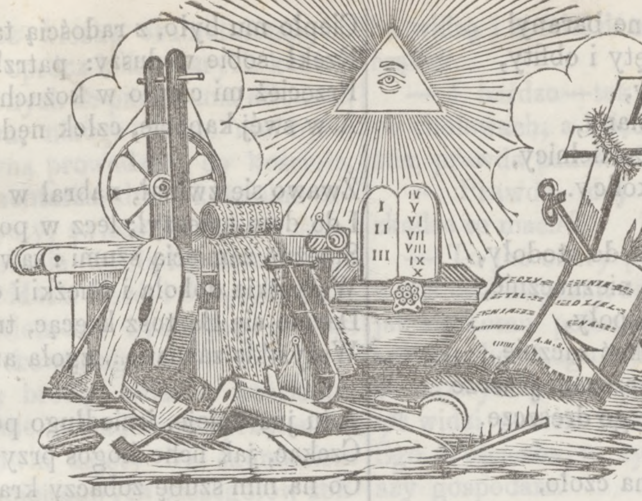
Warszawa.

Dnia 15 (27) grudnia.

1857.

Niedziela

1sza po Narodzeniu Chrystusa.



REDAKCYA CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr, 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Bóg towarzyszy prostym, objawia się pokornym, daje pojęcie maluczkim, zaostrza bystrość umysłów czystych, a umyka łaskę ciekawym i pysznym. Bóg odwieczny jest, niezmierny, i potęgi nieskończonej; wielkie i niedocieczone są sprawy Jego na niebie i ziemi, ani dano jest ludziom, aby cuda Jego wybadać mogli. (O naśl. Chr. K. 4 R. 18).

Gawędy starego Macieja.

IV.

Cudze nie grzeje.

—

Cudze nie grzeje, prawda, jak Bóg w Niebie,
Lecz nie chcą wierzyć przysłowiu ludziska;
Ten w cudze dobro, jak za piec się wciska,
Ów niby szubę ciągnie je na siebie;
A prawda prawdą, i śród tego ciepła
Już nie jednemu nędzna dusza skrzepła.

Ot macie przykład we smutnéj przygodzie,
Co Bartłomieja spotkała przed laty:
Marniał nieborak o chłodzie i głodzie,
A tuż przez drogę żył sąsiad bogaty,
Co w przyodziewku, w sprzęcie i w chudobie
Miał aż do zbytku, i panował sobie.

Raz, na jesieni, w pogodne południe,
Kazał swą odzież wynieść na wiatr suchy,
jak płot długi, porozwieszał cudnie
Płaszcze, żupany, kurty i kożuchy;
A tyle tego na słońcu się grzało,
Żebyś ustroił choćby wioskę całą.

Patrzy Bartłomiej pożądliwem okiem:
Boże mój drogi! cóż to za parada!
A ja nieborak świecę gołym bokiem,
Gorzéj nędznego pod kościołem dziada!
I na co jemu taki tego zbytek?
Ot leży, tylko dla moli pożytek.

Ej! byłbym głupi jak prawdziwe cielę,
Gdybym z dogodnéj nie korzystał chwili..,
Rzekł w grzesznéj duszy, i nie myśląc wiele,
Czai się w chwastach, popod płot się chyli,
Skrada się, kędy wiszą piękne szaty,
Porywa kożuch, i zmyka do chaty.

Cudze nie grzeje, szepnie mu sumienie,
Tyś złodziéj bratku!—Ej, Pan Bóg przebaczy...
Nie grzech korzystać z niedobrych bogaczy,
Co nie chcą patrzeć na bliźnich cierpienie.
Mniéj jeden kożuch, niewielka mu szkoda,
A mnie i zdrowia i życia on doda.

Paradny kożuch, przepyszne barany!
Włos czarny, lśkniący, kręty i obfity,
I granatową sajetą pokryty,
I jakąś wonią zamorską oblany,
Że pachnie odeń jakby z kadzielnicy,
Niema równego w całéj okolicy.

Zawinął w płachtę, skoczył do stodoły,
I w stertę słomy zagrzebał nieznacznie,
I czekał wesół i trwożny napoły,
Rychło-li sąsiad zguby szukać zacznie.
Niedługo czekał, przed wieczorem jeszcze
Hałas posłyszał, i przeszły go dreszcze.

I pot mu zimny wystąpił na czoło,
Gdy rwetes wszczął się po całym zaścianku,
Gdy trząść zaczęli wszystko naokoło,
Klnąc i wołając pomsty bez ustanku.
Darmo szukali, lecz nie było ducha,
Coby już nie znał ze słychu kożucha.

I wszystka szlachta strzegąc swojéj cześci,
Gorąco wziąwszy do serca tę sprawę,
Rzekła: niech zguba wkoło się obwieści,
A złodziéj musi wpaść w końcu w obławę!
I rozgadali, i niebawem cała
Już okolica o futrze wiedziała.

I jaka długość, i szerokość jaka,
I jakie runo, jakie sukno na niém,
Jak nawet pachnie—trzeba skrzydeł ptaka
Było, by umknąć z kożuchem baranim;
I nasz Bartłomiéj na zimę, choć z szubą,
Jak dawniéj dzwonił zębami aż lubo.

Bo wdziać nie sposób, ni dać do kuśnierzy,
Gdyż zdjąwszy sukno, jeszcze zapach wyda;
Kożuch gdzieś w słomie jak leżał tak leży,
A Bartoszowi jak bieda, tak bieda.
Darmo się wpisał pomiędzy złodzieje,
Daremnie zgrzeszył, bo cudze nie grzeje.

A zima praży mrozem bez litości,
I nieustannie zawieruchą miecie,
Trudno wyjść z chaty z kapotą na grzbiecie,
Gdy w szubę wlazłszy jeszcze krzepną kości...
A Bartoszowi, choć zgiń, w las potrzeba
Po drwa, bo marznie bez strawy, bez chleba.

W kradzionéj szubie ruszył nocką ciemną,
Pewny, że wróci póki rozednieje;
Ciepło mu było, z radością tajemną
Rzekł sobie w duszy: patrz! cudze nie grzeje!
Przecież mi ciepło w kożuchu sąsiada,
A w swéj kapocie, człek nędzny przepada.

Żwawo się zwinął, nabrał w sanki drzewa,
I do dom spieszył; lecz w polu wiatr srogi
Snieżną zamiecią szumi i zawiewa
Wszystkie dokoła i ścieżki i drogi.
Darmo się Bartosz kręcąc, tropi ślady,
Wszystkie zawiane... zgoła ani rady.

A tu już dnieje, i niedługo pono
Czekać, jak licho kogoś przyprowadzi,
Co na nim szubę zobaczy kradzioną,
I jak złodzieja do kozy go wsadzi;
Zrzuci więc kożuch, drwami go przywali,
I drżąc, w kapocie staréj rusza daléj.

Dzień cały błądził, kostniejąc na chłodzie,
Skulony na drwach, siedząc na kożuchu
Pod niemi skrytym; a gdy przy zagrodzie
Stanęła szkapa, to już był bez duchu.
Zgubił i duszę i grzeszne z nią ciało,
Bo koniec końcem: *cudze nie ogrzało.*

Opowiadanie Dziadka Kościelnego.

(Obrazek wiejski).

—

W piękny dzień letni, przez powabne okolice Sandomierskiego, które tak zachwycają oko i przemawiają do serca, szedłem z tłomoczkiem na plecach, chcąc poznać piękniejsze strony kraju naszego i rozmaite pamiątki przeszłości.

Schodziłem spadzistym wąwozem, a przed mem okiem rozciągała się niewielka dolina otoczona wieńcem wzgórków, na których złote kłosy pszenicy, poruszane letnim wietrzykiem, uginały się pod bogatym plonem. W dolinie stały rozrzucone domy wiejskie, którym panował na wzgórzach z jednej strony drewniany kościołek, z drugiéj dwór dziedzica wyglądał białemi ściany zpoza majowej zieleni okalających go drzew. Na uboczu wśród zielonej łąki płynął strumyk cicho, spokojnie; czasem tylko pogwarzył ze spotkanym kamykiem i znów płynął daléj po miękkiém łożysku Sandomierskiéj ziemi.

Przeszedłem przez wioskę osamotnioną; bo w czasie roboczym, oprócz kilku starych kobiet, oraz dzieci zostawionych do pilnowania młodszej dziatwy i domostwa, nikogo widać nie było.

Udałem się drożyną prowadzącą do kościoła. Minąwszy furtkę cmentarza, drzwi kościelne zastałem otwarte. Czysty, świeżo ubielony kościołek, wesoło i świątecznie wyglądał; ściany jego ozdobione obrazami Matki Bożéj i Świętych Pańskich dodawały świetności i religijnej powagi skromnemu przybytkowi Boga.

Staruszek z siwą brodą, dziadek kościelny, krzątał się pospiesznie, zatrudniony uprzątaniem kościołka; w téj chwili zajęty był skurzaniem obrazów. Ciekawy miejscowych szczegółów zbliżyłem się do niego, chcąc go wyciągnąć na gawędkę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, wyrzekłem.

— Na wieki wieków, na tém i na każdem miejscu, odpowiedział staruszek.

— Wyście tutejsi? zapytałem, chcąc wejść w rozmowę.

— Od wojny z Francuzem mój panulku ciągle w téj wiosce zostaję, a już dzisięć lat przy kościele—a panicz zdaleka? zapytał, ciekawie mi się przypatrując.

— O! ja zdaleka mój dziadku, z Warszawy.

— I po cóż aż w te strony Pan Bóg przywiódł?

—Tak widzisz dziadku, na wędrówkę — chcę też poznać swój kraj i ludzi; jak to młody, to zawsze ciekawy.

— A to już wiem, zawołał uradowany dziadek, wiem, wiem—dwa lata temu byli tu już tacy, co było ich z kilkunastu, podobniuteńko ubrani jak panicz, a z nimi stateczny człowiek, co ich oprowadzał i nauczał. Wybierali się do Ojcowa i Pieskowej-Skały, a pono z agronomii pochodzili; pewnikiem panicz także od nich—poczciwi panowie.

—Tak, tak, mój dziadku, od nich, i także wybieram się do Ojcowa; lecz że już słońce znacznie się nachyliło ku zachodowi, mam zamiar tutaj przenocować, a teraz w miłym chłodzie kościołka odpocznę troszkę.

— Pewno paniczu, że już niewarto puszczać się daléj, a tu u naszego proboszcza znajdzie panicz dobre przyjęcie i wygodę.

—Ten wasz proboszcz musi być bardzo zacny, bo widzę i kościołek czysty i wszędzie ład i porządek.

— I bardzo—tak to nie przymierzając: pana po cholewach, a księdza po kościele poznać można, prawda panulku?

— Prawda mój dziadku—a tyle obrazów zkądże to macie?

— To już ofiary parafii; bo to widzi panulek, u nas taki zwyczaj, że jak się co we wsi stanie, jak się komu poszczęści, lub jaka łaska Boska spłynie, lub kogo Pan Bóg od niedoli uchroni, to zazwyczaj ten ofiaruje obraz do kościoła. Ot widzi panicz nad tym ołtarzem nowy obraz Śgo Wojciecha, to tydzień temu ofiarował tutejszy gospodarz.

— A cóż mu się przytrafiło tak szczęśliwego?

— Długa to historya paniczu, odrzekł dziadek wychodząc z kościoła.

— Tem więcéj ciekawa. Siądźmy sobie oto dziadku tu pod tą lipą, powiedziałem, wskazując przy sobie miejsce i opowiedzcie mi wszystko.

— Bo to widzi panulek, zaczął, siadając dziadek...

Dawnemi jeszcze czasy, tylko com był wrócił od Francuza, żył w tutejszej wiosce, w téj oto środkowej chałupie bogaty gospodarz, a Wojciech mu było.

Otóż byłto bardzo zabiegliwy i gospodarny człowiek, bo nietylko swoje naprzód odsiał i nigdy w pańszczyznie nie zalegał, ale jeszcze brał rozmaite przysiewki i dosadki. Do karczmy nie bardzo ta chodził, a dla kościoła i biednych wiele świadczył; to też Bóg błogosławił jego starunek i pracę w polu i w oborze. Gdzie najlepsza pszenica? u Wojciecha—gdzie najładniejszy dochówek? u Wojciecha. Aż mu ludziska zazdrościli, jak to zwykle ludziska, a on się z nich śmiał i mówił im zawdy: pracujta tak jak ja, a do karczmy nie chodźta, miejta starunek nawet o byle bzdurnej rzeczy, to i wy będzieta tyle mieli, a może i więcéj.

To też Wojciecha nietylko we wsi szanowali, ale nawet pan i ksiądz bardzo go lubili; bo trzeba panu wiedzieć, że jak teraz mamy dobrego pana, tak i dawniéj rodzic tego był bardzo dobry: wszystkich kochał jak dzieci, a ludzie chociaż się go bali, ale szanowali i czcili jak ojca.

Mówiąc o Wojciechu... miał on kilkoro dzieci, ale mu Pan Bóg odmówił szczęścia dochowania się ich wszystkich, i tylko zostawił jedyną córkę. Śliczna to była dziewucha, że na całą

wieś nie było drugiéj; kraśna i biała jak krew z mlekiem, a oczki jak tarki tylko się migały. Przyjął był także temi czasy za parobka, Franka Łukasiaka, syna kopczarskiego z sąsiedniéj wsi Malinia. Chłopak już dorostek smagły i krzepki, a rosły i prosty jak topol. I nie dziwota mój panulku, że gdzie dwoje ładnych, tam zaraz i kochanie. Tak samo się też stało i z niemi—chłopak robił do dziewuchy zalecanki, a dziewucha, jak dziewucha: nibyto nie słuchała, ale zawsze wpadł jéj w oko smagły chłopak. Lecz i Wojciech bardzo go polubili, bo był starowny, roboty nie zaspał i taki oto dbały chociaż nie o swoje. To też jak Wojciech wyrozumiał, że chłopak ładne oczy robi do dziewuchy, nie zmartwił się ta bardzo, ale kalkulując sobie, poszedł na radę do pana—a dziedzic powiedział mu: oddaj lepiéj córkę choć za biednego, ale pracowitego chłopaka, kiedy się kochają, co twoję pracę uszanuje, aniżeli tam za jakiego choćby najbogatszego, a nicponia, co tylko w karczmie będzie siedział. Swięta prawda, co kochany pan mówi, pomyślał sobie Wojciech. Ja ta pieniędzy i bogactwa nie potrzebuję, ino człowieka, coby mnie i moję dziewuchę uszanował, miał starunek o dobytku, co go z łaski Boga mam dosyć i nie dał mu się zmarnować, a ino jeszcze dorabiał się z niego. Tak sobie wykalkulowawszy, cieszył się, że mu się zdarzył tak dobry chłopak; bo i prawda panulku, że lepszy biedny a pracowity i potulny, jak bogaty a znarowiony lenistwem, i Bóg wie jaki jeszcze.

W rok potem w zapusty Franek już miał Zosię. Osiedli przy ojcu. Stary pracował i oganiał na roli, Franek odrabiał pańskie i pomagał ojcu, a Zośka gospodarzyła za matkę, która była zmarła przeszłej zimy. I było im dobrze, jak to mówią jak w raju, aż ludowina między sobą gwarzyli: widać, że Wojciechowi Pan Bóg błogosławi, bo to i wszystko się wiedzie i jeszcze dostał takiego zabiegliwego zięcia.

I chociaż to niektórzy zazdrościli mu bez mała, ale jednak uszanowali go wszyscy i kochali niemal jak ojca całéj wsi; bo we wszelakiej potrzebie i turbacyi ino do niego, to po radę, to z pożyczką ziarna w przednowek, lub grosza na podatek, a on nikomu nie odmawiał, i chociaż u ludzi miał niemało, zawsze im przecie nie żałował.

Żyli sobie tak rok jeden i drugi. Stary dobrze się już pochylił, pracował jednak i doglądał; ale jak to nic niema na świecie stałego, nie mogło też tak pozostać na zawsze. Na wszystkich kolej mój panulku, przyszła i na Wojciecha—zmarło mu się, jak pamiętam w tydzień po Wielkiej Nocy. Całą wieś mocno to umarkotniło, bo nietylko Zosia i Franek lamentowali, ale wszyscy gospodarze, ba nawet pan i ksiądz szczerze go żałowali. To też na pochówku było wiele narodu; a dopiero żałować, a wysławiać Wojciecha: a co to za dobry człowiek, a co za gospodarz, a jaki miłosierny, nikomu nie żałował. Taki to już naród: zawsze u niego dobry jest dobry, ale najlepszy, jak go już nie stanie.

Zięć i córka suto nieboszczyka pochowali; sam pan z odkrytą głową odprowadził trumnę na cmentarz, proboszcz powiedział mądrą naukę: chwalił Wojciecha i stawiał całej gromadzie za przykład; odezwał się potem do Franka, żeby tak samo jak teść dozorował i pilnował, i tak był uczciwy, pobożny i miłosierny, jakim był nieboszczyk.

Franek z początku jął się uczciwie do pracy, zabiegał i gospodarzył niemal jak ojciec; ale to tego nie na długo było. Jakto młody i do wszystkiego ochotny, a tem bardziej, że tam jeszcze i inni nicponie parobcy namawiali go i wyciągali, zaczął zaglądać do karczmy. Raz, drugi na kieliszek wódki po robocie, nic złego; ale tu coraz częściej i więcéj, że nieraz przez wieczór a dalej bywało, że i cały Boży dzień w karczmie przesiedział. Bo to widzi panicz, jak się tylko do tego trunku włożyć, to już tak później ciągnie, mitręży i kusi człowieka, a zawadza mu zawdy, że sobie ciężko dać rady.

— To najlepiej mój dziadku nie pić wcale, rzekłem.

— O, to prawda, że bez tego, toby przez połowę mniéj było biedy i złego na świecie. Co to też ta wódczysko nabroiła, i nagubiła ludzi; a najgorzéj rozpocząć z nią, to już nie puści. Tak samo było z Frankiem. Z początku niewiele, ale jak się z nią zadał, to już pił bez miary. Nie było to tego tak zaraz znać w gospodarstwie i w chałupie, bo były nieboszczykowe pieniądze; ale jak tych nie stało, a tu na gorzałkę trzeba, daléjże sprzedać korczyk zboża żydowi i zamiast butów i okrycia dla siebie, kobiety i dzieci, albo zapłacić czeladzi, wszystko poszło do karczmy i utonęło w wódce.

Ale i to prawda panulku, że oko pańskie konia tuczy; że jak sobie człek sam nie dopilnuje, to trudno, aby mu ludzie dojrzeli. I jakże miało iść gospodarstwo jak przynależy, kiedy sam go-

spodarz w karczmie, a tylko na głowie parobka poległo wszystko. Nietylko było mu za ciężko odrabiać pańskie i oganiać gospodarstwo, ale pewno pomyślał sobie, choćto nie po ludzku: kiedy sam gospodarz nie dba o swoje, co mnie co za niewola ciągle charować. To też dlatego gospodarstwo marniało, a z nim dobytek, bo nie miał należnego starunku—i oto zdechły dwa ładne wolce, budowle bez opatrzenia i dobrego przykrycia zaciekały i gniły. A i w polu nie było jak dawniéj; bo choć ojciec zostawił czyściutkie grunta i prawie od skiby do skiby gnojne, ale grunt wymaga ciągłéj pracy, tem więcéj, im cięższy i mocniéj wymierzwiony. A tu jedna para wołów przez niedozór zdechła, drugą trzeba było trzy dni w tydzień chodzić na pańskie, a jeszcze się zdarzało, że Franek, co już tak w wódce zabrnął, nawet z pola od wołów odchodził do karczmy, i biedne woliny zgłodniałe stały do nocy, póki parobek z pańszczyzny nie wrócił i nie wyprzągł ich z jarzma.

Z wódką chodzi zawsze w parze bieda—nietrzeba też było na nią długo czekać u Franka, zwłaszcza, gdy pomimo przestróg i gniewu pana, oraz upominań księdza, coraz częściéj przesiadywał w karczmie, zboże i zarobek przepijał, a gospodarstwo bez dozoru szło na marność. Taka już nieraz bieda była, że brakło czasem na łyżkę okrasy i garstkę soli, ztąd i czeladzi ciężko byłó utrzymać.

Zośka, biedna kobiecina, martwiła się nieboże, jednak pracowała za wszystkich—zbiedniała i zmizerowała się, a rady dać nie mogła; bo gdzie tam saméj niewieście wystarczyć i wszystko zmódz. To też w końcu biedaczka zasłabła. Z początku Franek niewiele zważał, ale jak na dobre kobiecisko zaniemogło, mocno się przestraszył; poruszyło się widać w nim sumienie. Pobiegł do dworu prosić państwa o radę i zaraz udał się do księdza, żeby nawiedził chorą żonę.

Poczciwi państwo, daj im Boże zdrowie i szczęście, przyszli zaraz. Nasza pani sławna na okolicę lekarka, nikomu rady i pomocy nie odmówi, tem bardziej z własnej wsi. Niezadługo przyszedł proboszcz, a przekonawszy się z panią, że niema nic strasznego, że kobiecie potrzeba tylko wygody i spoczynku, że się tak tylko zanędziło biedactwo, zaraz więc pani obiecała przysłać wina na polewkę i mięsa na rosół.

Dziedzic z księdzem obejrzeli całe gospodarstwo Frankowe, a widząc wszędzie pustki, zmartwili się i żałowali nieboszczyka Wojciecha. Przywoławszy Franka, przedstawili mu całą jego niedbałość, a dopiero mówić a przekładać: że tak marnuje krwawą pracę Wojciecha, że tak mu się odwdzięcza za to, iż go ukochał jak syna, i oddał mu własne dziecko i całe gospodarstwo, a on zamiast pilnować i gospodarzyć, w karczmie tylko siedzi i wszystko przepija; że oto przez niego kobieta słaba, że mu Pan Bóg nie przebaczy za poczciwego Wojciecha i za jego dobre dziecko, jeżeli się nie poprawi.

Widać że Franek mocno to uczuł i ubolewał nad tem, bo ani zajrzał do karczmy, tylko chodził jak osowiały, nie śmiejąc spojrzeć na ludzi. I ludzie też niechętni byli na niego, że tak niszczył pracę najstarszego gospodarza i nie dbał o jego dziecko.

Franek nie był tak zły z gruntu, tylko ten djabli trunek tak go rozbałamucił.

Ja zawsze myślałem, że to tak ciągle nie będzie i uważając na poczciwego Wojciecha, ufałem w miłosierdziu Bożem, że przecie Pan Bóg przemieni Frankowi.

Tak się też stało—niezadługo Franek zaprosił gospodarzy na wotywę, którą zakupił na Sgo Wojciecha na intencyą nieboszczyka teścia. Zebrali się co starsi gospodarze i gospodynie, przyszli i państwo. Franek z żoną i dziećmi świątecznie ubrany, spowiadał się i komunikował, a podczas wotywy cały czas krzyżem leżał; pewno przepraszał duszę starego Wojciecha.

Po skończonem nabożeństwie zbliżył się Franek przed ołtarz, ukląkł na schodkach, a ksiądz odebrał od niego dobrowolne przyrzeczenie, że już nigdy do końca życia wódki pić nie będzie; poczem ucałował Pana Jezusa i kraj sukni księdza i poszedł do państwa prosić o błogosławieństwo. Rozrzewnieni państwo, ze łzami błogosławili i winszowali nawróconemu—gospodarze zdziwieni, cieszyli się także poprawą Franka.

Po wotywie Franek poprosił nas wszystkich do swojej chałupy, raczył i częstował, sam jednak nic nie pił.

Ale jakaż radość ogarnęła wszystkich, kiedy po południu przyszedł dziedzic, a za nim przypędzono dwa woły dla Franka na zapomogę. Takich to panulku nasza wioska ma dobrych panów; jak tylko zobaczą, że się człowiek poprawia i garnie do pracy, zaraz przychodzą z pomocą.

Gdy uradowani Frankowie dziękowali panu,

całując go po nogach, powiedział do Franka: spodziewam się mój kochany, że ta para wołów to już ci nie zdechnie, bo jéj wódką nie ogłodzisz.

Nie zdechła mu panulku, nie, bo zaraz jął się do roboty i gospodarstwa; dziedzic kazał jeszcze poreparować budowle, poszycia ponaprawiać i już z dziesiątek lat upływa, a Franek wierny przyrzeczeniu ani zajrzy do karczmy i znów jak dawniéj Wojciech, jest prawie najpierwszy i najporządniejszy gospodarz, dużo ludziom świadczy, pamięta o biedactwie i wspomaga jak może. Kobiecina jego zdrowa i wesoła, cieszy się trojgiem dzieci; najstarsza dziewucha w piętnastu latach pracowita i urodziwa jak matka.

Dość że po owéj wotywie jakby biedę utopił, a przyszło szczęście i dostatek. I oto Franek niedawno kupił w Sandomierzu na odpuście obraz Sgo Wojciecha na podziękowanie Bogu za otrzymane dobrodziejstwa i pamiątkę teścia; prosił proboszcza, aby go zawiesił nad ołtarzem, przy którym składał przyrzeczenie.

Ludzie mówią, że dusza poczciwego Wojciecha wyprosiła sobie u Pana Boga poprawę Franka dla pociechy córki.

O zwierzętach, których skóry używają się na odzież zimową.

(Ciąg dalszy, patrz nr. Cz. 47).

—

Mówiliśmy już poprzednio o futrach, jakich dostarczają niektóre zwierzęta drapieżne, a głównie do rodziny *niedźwiedziowatych* i *wysmukłych* należące — pozostaje nam jeszcze wspomnieć o innych, tak drapieżnych, jak gryzących, równie pod tym względem użytecznych.

Zpomiędzy drapieżnych rodzaj psa do *żbików* należący, jest najważniejszy, a szczególniej gatunki następujące:

Pies *Sybirski* i *Eskimosów* żyjący w krajach przybiegunowych, używany tam do zaprzęży sanek; ma włos długi, gęsty, czarny i futra jego w handlu się przytrafiają.

Lis. Różne jego odmiany zamieszkują całą kulę ziemską.

Pod względem futra najważniejszym jest *lis biały*, koloru białego lub popielatego, zamieszkuje pobrzeża Lodowatego morza. We wrześniu te lisy są czysto białe, wyjąwszy pręgę czarniawą na karku i łopatkach, z powodu któréj zowią się wtenczas *krzyżakami*. W listopadzie ta pręga ginie, a lis staje się biały—od grudnia do marca włos jest najdłuższy i futro jest najdroższe. Białe lisy są pospolitsze i dlatego ich futra są tańsze, popielate zaś są droższe, a cena ich się powiększa w miarę, jak kolor jest ciemniejszy. Na północy Europy, Azyi i Ameryki, mianowicie we wschodniej Syberyi i Kamczatce mieszka lis *izatis* zwany, dający bardzo kosztowne i piękne futra. W tym gatunku są dwie odmiany: jedna pospolitsza ciemna lub ołowiano-śniada, na zimę przybierająca prawie błękitnawą barwę, i ta w handlu stanowi futra *lisów niebieskich*; druga odmiana bardzo rzadka, śniadawo-czarna, daje nakosztowniejsze futra w handlu pod nazwą *lisów czarnych*, czyli *marmurków* znane.

Oprócz tych gatunków i odmian, bardzo używany na futra jest lis amerykański zwany *płowym*, z powodu obfitości tani; barwa futra podobna jest do zajęczéj, a samo futro jest trwałe.

Wszystkie lisów gatunki dają lekkie i ciepłe futra. W kupiectwie znajdują się następujące: 1. *czarne amerykańskie* ze srebrnym włosem na karku, zwane *marmurkami*; 2. *krzyżaki*; 3. białe, śnieżne zwane *piesakami*; 4. niebieskie; 5. żółto-złote sybirskie; 6. siedmiogrodzkie, podobne do szopa; 7. podolskie, z podbrzuszem białem; 8. lisy krajowe.

Między zwierzętami gryzącemi kilka jest gatunków których skóry na futra się wyprawiają, i tak:

Wiewiórka europejska ma wiele odmian, stosownie do ciepła kraju, w którym mieszka. Na północy przytrafiają się rude, siwo-kropkowane, siwo-popielate zupełnie białe, a nawet czarne.— Futra wiewiórek zwane są *popielicami*, podbrzusza zaś koloru jaśniejszego zowią się *bielistkami*.

Skrzeczek czyli Chomik. Pospolity gatunek zamieszkuje nory podziemne w Europie i Azyi, i w nich robi znaczne zapasy zbożowe na zimę. Skóry chomików, które u nas wieśniacy *ziemnemi pieskami* zowią, znane są w handlu pod nazwiskiem *namstrów*, i używają się pod algierki męzkie. Gatunek skrzeczka zwany *szynszyllą*, żyje na górach w południowéj Ameryce; włos jego jest jedwabisty długi, szaro-czarniawego koloru, biało-falowato oznaczony—używa się na obszewki do sukien zimowych i tak zwane *mufki* czyli *zarękawki*.

Bóbr. Jedynem w tym rodzaju zwierzęciem jest *bóbr pospolity*, wielkości borsuka, pokryty dwojakim włosem, to jest brunatno-rudym dłuż-

szym i puchem bardzo miękkim, mniéj więcéj szarym. Bobry na północy są czarne, a niekiedy białe; żyją gromadnie dotąd w Ameryce północnéj, a głównie na Kaukazie; w Europie przytrafiają się pojedyńczo nad Bugiem i Dnieprem, a czasem nad Wisłą. Pospolicie polują na bobry w zimie, bo wtenczas futra ich mają największą wartość. Z dłuższych włosów robią różne tkaniny, jakoto: pończochy, chustki i rękawiczki, krótszych zaś używają na kapelusze zwane *kastorowemi*.

Zpomiędzy zwierząt przeżuwających, czyli racicowych, wiele jest takich, których delikatna wełna przerabia się na tkaniny, używane na odzież; niektórych zaś skóry wyprawione dają wprawdzie mniéj kosztowne, ale pospolicie używane kożuchy. Do takich należą:

Owca, w skutku starannego pielęgnowania w liczne rozrodziła się odmiany, tak co do kształtu ciała, jak co do miękkości i cienkości wełny. Skórki wyprawione na futra, zowią się *barankami*, te bywają: *krymskie*, *ukraińskie*, *siedmiogrodzkie*. Futra zwane *kasztankami czarnemi*, pochodzą z baranów kałmuckich, *kasztanki złote* z baranów bucharskich, *baranki siwe* pochodzą z jagniąt rasy arabskiej hodowanej w Bucharyi.

Koza. Gatunek żyjący na Kaukazie zwany *kozą bezoarową*, jest szczepem naszej kozy domowej i wielu innych odmian w różnych krajach żyjących, z których znaczniejsze są:

Koza angorska żyje w okolicy Angory, miasta leżącego w Turcyi azyatyckiej; ma włos długi, jedwabisty zwany *angorą*, którego używają na obszewki do mantylek. Z tego włosa wyrabiają także piękne tkaniny zwane *kamlotem*.

Koza kaszemirska ma włos cienki, wełniasty, do roboty szalów kaszemirskich, dywanów tureckich używany, które tylko Turcy i Persowie najlepiej tkać umieją.

Koza tybetańska, z której włosów robią tak zwane *tybety*.

Lama, któréj dwa gatunki żyją dziko w górach Kordylierskich w południowéj Ameryce, dostarcza dosyć miękkiego włosa, z którego przyrządzają mieszkańcy grube deki. Z gatunku lamy zwanego *wigoniem* otrzymuje się wełna także *wigonią* zwana, a z téj tkają się chustki, grubsza zaś używa się na kapelusze i pończochy.

Historya Warszawy.

VIII. Warszawa za Jana Kazimierza

(*od r.* 1648 *do r.* 1668).

(Dalszy ciąg, patrz nr. Cz. 51.)

—

Pod nieszczęśliwem panowaniem króla Jana Kazimierza, liczne klęski zlały się na cały kraj i na stolicę jego. Miasteczko *Grzybów* przybyło teraz Warszawie; wzniósł je Jan Grzybowski starosta warszawski i przywilejami z uszczerbkiem miasta obdarzył. Stara Warszawa wtedy przed napadem Szwedów, oprócz rynku, miała 9 ulic.

Przedmieście Starego-Miasta stanowiły ulice: Długa, Freta, Mostowa, Rybitwia, Krakowskie-Przedmieście, Dziekańska, Ossolińska (dziś Czysta), ku św. Krzyżowi i Nowy-Swiat. Ulice te miały possessyj 539. W ogóle zatem Stara Warszawa z przedmieściami miała domów 737, z tych 160 tylko murowanych.

W owych to czasach spotykamy pierwszy raz w Warszawie gminę ewangielicką. Pierwsze miejsce jéj zboru było w domu, gdzie dziś szpital ewangielicki przy ulicy Karmelickiéj; tu również znajdował się i cmentarz tego wyznania.

—

W takim stanie zajął Warszawę już poraz drugi roku 1656 Karol Gustaw król szwedzki, nieprzyjaciel Polski. Kazał on mury i wały z ziemią zrównać, a przedmieścia popalić. Przyłączyło się do tego zaraz i morowe powietrze, które tysiącami ofiary zabierało. W parę lat jeszcze po tym napadzie Warszawę poznać trudno było; szczególniéj ucierpiały przedmieścia i Nowe miasto. Trawa porosła na miejscach, gdzie wprzód domy stały.

I już w roku 1659 widzimy następujący obraz stolicy polskiéj:

Stare-miasto miało już tylko 184 domów, Nowe 93. Krakowskie-Przedmieście po prawéj ręce od zamku nie miało ani jednego domu; na drugiéj stronie tylko 40 domków ocalało. Na ulicy Freta, Szerokiéj albo Błońskiéj (dziś Długa), stały puste place i t. p. Władze krajowe pracowały nad tem, aby stolicę kraju podnieść. Ustawa sejmowa, wszystkie osady osobne zniosła, podciągając je pod ogólny podatek dla miasta, które się nanowo dźwigać zaczęło. I tak widzimy między innemi folwark warszawski przez Jana z Pieskowéj-Skały Wielopolskiego starostę tutejszego, już teraz na nowo odbudowany.

Wpośrod jednak ciągłéj prawie wrzawy wojennéj i klęsk nieustannych, przybyły Warszawie w tym czasie dwa kościoły:

Dominikanie obserwanci, i

Bonifratrzy na Lesznie, fundowani przez Leszczyńskiego podskarbiego w. koronnego, który im kościół późniéj w lat 4 wybudował.

—

W końcu za panowania tego króla pierwszy raz urządzono pocztę stałą r. 1649. Nadto zaczęto drukować pierwsze gazety popolsku. Pod względem zaś zwyczajów tutejszych, jak za Zygmunta III i Władysława IV wiele było włoskich, tak teraz francuzkich, bo dwór króla mającego za żonę Marję Ludwikę francuzkę, pełen był jéj rodaków, co wielki wpływ wywierało i na zwyczaje miasta samego.

W tym także czasie powstał pierwszy teatr publiczny w Warszawie — otworzyli go francuzi.

—

IX. Warszawa za króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego (od r. 1669 do r. 1673).

—

Po Janie Kazimierzu obrano królem Michała Korybuta.

W czasie tym wybuchł nowy pożar jeszcze przed ukończeniem elekcyi, czyli obioru, w samą niedzielę Zielonych Świątek, i zniszczył prawie trzecią część ówczesnéj stolicy.

Ulica Piekarska prawie cała zgorzała, na Dunaju zostało tylko 5 kamienic, na Rybitwiej zgorzały spichrze, z bramy Mostowéj zrobiono prochownią. Długa ulica także się spaliła, z ocaleniem giełdy, na Miodowéj zostało tylko 7 dworków i kilka pałacyków. Krakowskie-Przedmieście po prawéj stronie ku Ujazdowi miało tylko 10 kamieniczek, reszta dworki i domki drewniane, Nowy-Swiat zawierał same domy drewniane; za kościołem księży Reformatów, gdzie dziś się zaczyna ulica Elektoralna, aż za Wolskie rogatki nie było żadnego domu i t. p.

Pod pięcioletniem jednak panowaniem Michała Korybuta, znacznie się Warszawa pobudowała, tak, że z przedmieściami, miasteczkiem Lesznem i Grzybowem, miała wtedy possesyj 1204, lubo pożar w r. 1770 powstały, nowy uszczerbek sprawił.

Od Redakcyi Czytelni.

Kończy się rok drugi, jak *Czytelnia Niedzielna* powstała i podniosła głos swój do Was Czytelnicy!

Zrozumieliście odrazu, że pismo to, położywszy za zasadę rozszerzenie moralności, zamiłowanie pracy, i rozpowszechnianie nauki zastosowanej do was, nie pomijając i rozrywki połączonej z nią zwykle, wiernie spełniało zadanie swoje, i z usilnością Redakcya starała się, o ile zakres pisma dozwala, dopełniać wszystkich warunków, w pierwotnym prospekcie ogłoszonych.

Spis przedmiotowy załączony okaże co główną treścią było *Czytelni Niedzielnéj* z roku ubiegłego.

Wasze czytelnicy współczucie, podniecało usiłowania nasze; niechże ono i nadal nam towarzyszy, abyśmy przy Bożéj pomocy na téj drodze nie ustając, wytrwali dla waszego pożytku.

Z wielką pociechą Redakcya odebrała wiadomość przez jednego z ziemian w nr. 21 Czytelni opisaną, iż pismo to zyskało upowszechnienie pomiędzy ludem wiejskim, że wielu z nich przez obudzoną ciekawość czytać się nawet nauczyło. Oby ten przykład znalazł jak najwięcej naśladowców!

Zaczynając więc rok trzeci bytu Czytelni Niedzielnej, nie ustaniemy w naszych usiłowaniach i pracy; będziemy się starali to, czegośmy dotąd nie mogli dostatecznie rozwinąć, uzupełnić, i pismo nasze coraz nowemi, a użytecznemi wiadomościami dla was czytelnicy zbogacać. Dobry Bóg wesprze szczere nasze chęci, i swego błogosławieństwa nie odmówi pracy, mającej za cel główny szczęście i naukę bliźnich naszych.

W druk. J. Ungra. — Wolno drukować. Warszawa dnia 9 (21) grudnia 1857 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*